

Klub Katowice

Relacje

Teofil Czipionka

Relacja więźnia, Teofila Czipionki z Piekar Śląskich, dotycząca tzw. "Totbadeaktion". Akcja eksterminacji więźniów poprzez "śmiertelne kąpiele", przeprowadzana była przez adiutanta lagerführera Chmielewskiego, SS-Hauptscharführera Heinza Jentzcha od 29 IX 1941 do stycznia 1942 (okres jesienno-zimowy). Zamordowano w ten sposób około 2000 więźniów [1]

Rycerz Niepokalanej, styczeń 1949, str. 21-22 Generalna absolucja podczas masowego morderstwa

Prośmy zawsze Boga o szczęśliwą śmierć, gdyż nigdy nie jest nam wiadomo, w jaki sposób i w jakim czasie przyjdzie.

Było to w końcu miesiąca listopada 1941 r. w obozie Gusen. Temperatura obniżyła się bardzo, co prawda woda w rurach jeszcze nie zamarzła, ale też niewiele brakowało.

Oddział nasz, zatrudniony w magazynie ubrań, ma dużo pracy, pracujemy nawet po apelu do godziny 11-tej w nocy.

Około godziny wpół do jedenastej puka ktoś słabo w okno magazynu; otwieram, słyszę straszne krzyki, przed oknem stoi kolega K.B., były dyrektor cukrowni, i zapytuje: "Teofil, czy jest ksiądz Ludwik?" "Jest". "Proszę go przywołać do okna". Ks. Ludwik przychodzi. "Kaziu, co się stało?" "pyta. "Słyszysz ksiądz, SS-mani urządzają dziś w nocy masowe morderstwo i teraz pędzą do łaźni wszystkich chorych, starych i słabych, wszyscy mają dziś w nocy zginąć, mają być utopieni. Może by ksiądz im udzielił generalnej absolucji". W tym momencie rozlega się tak straszny, wprost nieludzki ryk, krzyk, płacz i hałas, żeśmy potruchleli i pobledli. Mimo to wychodzimy oknem. Jest noc bardzo ciemna, tylko blask światła bije od strony baraku-kąpielni, oddalonego od naszego o pięćdziesiąt kroków. Przedzieramy się w cieniu pod barakami, żeby nas nikt nie zauważył, gdyż biada nam, wpędziliby nas zaraz do lodowej kąpeli. Docieramy po ciemku do baraku, nikt nas nie zauważył, patrzymy przez szpary w deskach. Oczom naszym przedstawia się straszny widok: SS-mani i kapowie wpędzili z bloku nr. 32 do lodowej kąpeli około 130 ludzi, najwięcej wychudłych biedaków, nago. W kąpeli zatkano otwory do odpływu wody, jest strasznie zimno. SS-mani i kapowie krzyczą na jeńców, każą im włączyć do zmrożonej wody, a gdy to nie pomaga, kopią i biją ich po nagich plecach, nawet, po brzegu podwyższonym, puszczają całym pędem, żelazny wózek o dwóch kołach, i wtrącają resztę do zimnej wody. Teraz każą im się pokłaść i zanurzać, nawet głowy; kto się opierał, bito go żelazną łopatą w plecy lub głowę. Tylko ludzie bez Boga mogli dopuścić się podobnej zbrodni.

Powstaje straszna rozpacz, każdy widzi, że trzeba się raptownie rozstać z tym życiem, że wszyscy będą potopieni: ojcowie rodzin, synowie, starcy, już i tak od głodu wycieńczeni i niezdolni do pracy. Jedni się modlą, odmawiając "Pod Twoją obronę", drudzy "Ojcze nasz", jeszcze inni odmawiają akty strzeliste i głośno żałują za grzechy, jeszcze inni zwątpiwszy i nieomal postradawszy rozum, przeklinają ojca i matkę, którzy ich zrodzili, i godzinę, w której się urodzili. Słyszę słowa: "Matko, czemuś mnie porodziła, kiedy ja tak cierpieć muszę i życie mi gwałtem odbierają", lub "Moja kochana, ja już ciebie nigdy nie zobaczę".

Jęk, płacz, modlitwy i przekleństwa, wszystko się mieszało. Było to tak straszne, że chociaż mija już 7-my rok, jeszcze dziś mnie zimno i dreszcz przechodzi, gdy to piszę. Drżeliśmy na całym ciele, lecz trzeba nam wypełnić obowiązek w chwili śmierci.

Odmawiam Confiteor za konających a ks. Ludwik B. udziela w tej chwili wszystkim generalnej absolucji.

Największy czas, gdyż jeden z SS-manów otrzymuje rozkaz obejść kąpielnię, więc ginie w ciemności, wracamy szczęśliwie do magazynu zupełnie wyczerpani. Koledzy się modlą i niecierpliwie na nas czekają, czy też powrócimy. Bogu dzięki, powróciliśmy.

Na drugi dzień rano, chcąc zbadać skutki tej strasznej, morderczej kąpieli, udałem się na blok nr. 32 z zapytaniem, czy blokowy ma jakie rzeczy do oddania, ponieważ przyjedzie auto po brudną bieliznę. Blokowy, istny szatan w ludzkim ciele, odpowiada: „Tak, otrzymacie dziś 125 kompletów ubrań po zmarłych”. Udając, że nic nie wiem o kąpieli, zrewidowałem umywalnię bloku nr. 32. Otwieram drzwi i cofam się parę kroków w tył na widok, którego nigdy nie zapomnę. Ofiary kąpieli poukładano na wysoką kupę jak kłocę drzewa; niektórzy po rozgrzaniu się przychodzili do życia, jedni otwierali i zamykali oczy, inni ruszali rękami lub nogami, jeszcze inni z tej kupy wydawali różne jęki. Zawarłem szybko drzwi i obserwuję dalej. Za 15 minut przyjeżdżają wozy do wożenia chleba pod kąpielnię i koledzy muszą wrzucać współtowarzyszy niedoli na wozy jak kłocci drzewa, by zawieźć ich do krematorium. Jeszcze chwilka a krematoria dymią i tak zaciera się zbrodnia.

Cześć i pamięć naszym męczennikom za wiarę i polskość!

Wuj Teofil z Gusen.

[1] Dobosiewicz Stanisław (1977): Mauthausen-Gusen. Obóz zagłady, Wydawnictwo MON

Anielin Fabera

Relacja więźnia nr 46962, z pięciu lat pobytu w piekle obozowym

Kalendarz Górniczy Kopalni "Ziemowit" 1986 Przeżyłem koszmar

Aresztowany zostałem na polecenie burmistrza gminy w Łąkach, w dzielnicy Stowki, w mieszkaniu moich rodziców. Burmistrz Kroczyk, renegat polskiego pochodzenia, pracował w charakterze urzędnika kolejowego w Boguminie do końca sierpnia 1939 r. Nakaz aresztowania podpisany był przez trzech innych mieszkańców Łąk: Otto Türka pochodzenia niemieckiego, właściciela: młyna wodnego w Łąkach Wielkich, Seberę - pracownika kolei, Kuczerę górnika w kopalni węgla w Karwinie. Powód aresztowania podany był bardzo lakonicznie: "fanatischer Pole" (fanatyk polski). Nazwiska wyżej wymienionych i powód aresztowania zdążyłem ukradkiem odczytać z moich akt w biurze politycznym obozu w czasie przesłuchań. Przesłuchiwał mnie oficer SS Habenicht. Tłumaczem był Stanisław Nogaj - były dziennikarz z Katowic - w obozie pisarz bloku 16. Aresztowano mnie pod pretekstem przechowywania broni. Przeprowadzona rewizja nie dała rezultatów. Jednym z żandarmów był Austriak. Poznałem go po dialekcie. Drugi mówił źle po polsku, z akcentem czeskim, używając na przemian słów śląskich i języka czeskiego. W obozie koncentracyjnym Dachau nie pracowałem. Przebywałem wraz z innymi więźniami polskimi na tzw. kwarantannie w bloku 10. Blokowym był Niemiec, nazwiskiem Gutmann. Odnosił się do Polaków poprawnie. Nosił czerwony trójkąt. Pomagał mi przy leczeniu dziąseł po zębach wybitych w czasie przesłuchania w gestapo karwińskim.

W obozie w Gusen I pracowałem od 6.VI.1940 do 7.XI.1941 r. w kamieniołomie Gusen i Kastenhofen jako tragarz (Steinträger) i jako kamieniarz (Steinmetz). Od 7.XI.1941 jako pisarz przy krematorium (Leichencapo) tj. dozorca zmarłych (nie byłem jednak więźniem funkcyjnym) do września 1942. Od tego czasu zatrudniony byłem oficjalnie w stolarni przy kamieniołomie Gusen I, a nieoficjalnie, na życzenie Wassnera i Hoffmana, jako pisarz krematorium. Dla zmylenia tożsamości, nosiłem w krematorium oznaczenie więźnia radzieckiego. Polakom nie wolno było pracować w krematorium. Z całej załogi krematorium zostałem przy życiu jako jeden jedyny świadek. Jedyny świadek zbrodni, o których więźniowie w obozie wiedzieli. Krematorium miało swoje tajemnice. Wszyscy pomordowani musieli przejść przez ten końcowy etap. Tam musieli być zarejestrowani i zamienieni w dym i popiół. Tam zacierano wszelkie ślady skazańców w pasiakach, w ubraniach cywilnych i mundurach. W krematorium w Gusen spalono również trzy kobiety. Skąd pochodziły, jak się nazywały, nikt nie wiedział i prawdopodobnie nigdy się nie dowie. Przypuszczam, że były to również więźniarki z obozu oświęcimskiego, które zginęły w czasie transportu. Zwłoki były potwornie wychudzone, ale nie posiadały tatuowanych numerów - głowy strzyżone krótko. Kapem krematorium był Niemiec nazwiskiem Schwendemann Józef, więzień z zielonym trójkątem. Jego stosunek do podległych mu pracowników i innych więźniów różnych narodowości był poprawny. Był zboczeńcem seksualnym, sprowadzał do krematorium młodych chłopców na noc. Płacił jedzeniem, którego miał w bród. Krótki okres czasu pracowali również w krematorium więźniowie narodowości niemieckiej: Franz Beuth, Bruno Weidemann, Alfred Möll i Rudolf Müller. Tak Franz jak i Bruno należeli do najgroźniejszych przestępców. Obaj byli sadystami bez skrupułów. Mordowali dla zabawy. Zabijali i dręczyli więźniów wszystkich narodowości, nie wyłączając z grona swoich ofiar Niemców. Zadawanie bólu innemu człowiekowi sprawiało im przyjemność. Pracowałem z nimi kilka miesięcy i nauczyłem się czytać z ich spojrzeń, każdy ich plan, każde zamierzone uderzenie. Bardziej przedsiębiorczy był Franz Beuth. On wyszukiwał ofiarę, a jego

towarzysz Bruno wchodził w akcję, gdy ofiara została już częściowo obezwładniona ciosami prowodyra. Alfred Müll i Rudolf Müller to postacie nieznane. Nie angażowali się w tzw. grubszą robotę. Byli uosobieniem ślepego poddaństwa. Nadskakiwali umundurowanym jak i innym więźniom funkcyjnym. Wszyscy wymienieni zostali do końca roku 1944 wywiezieni do innych obozów. W lutym 1941 r., w czasie pracy w kamieniołomie, zostałem dotkliwie pobity przez więźnia funkcyjnego, Austriaka Alwiza. Kapo Alwiz znęcał się nade mną prawie godzinę. Chciał mnie za wszelką cenę zabić. Pozostała mi po nim "pamiątka" blizna wielkości dłoni na prawym podudziu. Ja przeżyłem. On zginął 5maja 1945 r. Widziałem jego zwłoki koło obozu Gusen II, gdzie był blokowym. Uszkodzona kość goleniowa i ogólne potłuczenia zaciągnęły mnie w szeregi tzw. inwalidów. Zostałem zapisany na listę chorych nieuleczalnie, a tym samym skazany na niechybną śmierć przez uduszenie cyklonem w niewielkiej miejscowości Hartheim. Od transportu w zaświaty uratował mnie inny więzień funkcyjny z izby chorych, narodowości niemieckiej, z czerwonym trójkątem, komunista Sommer. Jako kapo izby chorych wstawił się za mną u komendanta obozu Chmielewskiego. Jego interwencja była skuteczna. W zamian za przysługę, musiałem mu namalować kilka obrazków dla jego "wybranki" z obozowego domu publicznego. Wiem, że moi przyjaciele zapłacili za mnie również papierosami i innymi atrakcyjnymi artykułami z różnych nielegalnych przemytów i transakcji. Skaleczona noga daje jeszcze dziś znać o sobie. Chorowałem w obozie dwukrotnie na dur brzuszny i na tyfus plamisty. Pozostałość po tej ostatniej chorobie to stałe dolegliwości nerek. Jak udało mi się wprowadzić w błąd doktora Kiesewlettera i uniknąć śmiertelnej jego strzykawki z naftą czy fenolem, opowiem w epizodzie o chorych na tyfus plamisty. Tajemnicę fortelu znał jeden tylko więzień, lekarz z Poznania, dr Feliks Kamiński. Jestem chyba jedynym więźniem, który mógł namacalnie stwierdzić, że wywożeni inwalidzi do Hartheim na tzw. leczenie byli w dniu wyjazdu likwidowani. Odbierałem do rejestracji urny z ich prochami już w następnym dniu. Pamiętam jeszcze dziś niektóre nazwiska: Robert Chlebek - mój nauczyciel ze szkoły podstawowej, Józef Szczurek - nauczyciel szkoły ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim w Cieszynie, Edward Sarmacewicz - komornik sądowy z Włocławka (mieszkałem u jego żony w Cieszynie jako uczeń przy ul. Macierzy Szkolnej 1). Rozmawiałem z nimi w dniu wyjazdu. Wsiadali do tajemniczego autobusu na placu apelowym o godzinie 5 rano. Nie mogłem im nic powiedzieć. Oczekiwałem też na swoją kolejkę w następnych dniach. Byłem w gorszym położeniu. Wiedziałem, że to jest ostatnia nasza podróż z udręczonej barbarzyństwem hitlerowskim ziemi, pięknej wioski Gusen nad modrym Dunajem. Wierzyłem jednak, jak każdy człowiek, w coś nadzwyczajnego, w coś nieuchwytnego. Nie pojechałem. To coś, ta tak zwana gwiazda szczęścia, to była pomoc kolegów: Sommera, Karola Cofały z Chorzowa, Stanisława Nogaja z Katowic. Przeżyłem śmiertelną kąpiel organizowaną przez znanego wszystkim więźniom SS-mana Jentscha. Udało mi się uciec spod lodowatego prysznica. Są w życiu człowieka wydarzenia o takiej sile tragizmu, że kto je osobiście przeżył, widział na własne oczy, wspomnienia o nich nigdy się nie pozbędzie. Utrwalone gdzieś (podobno w szarych komórkach) powracają mimowolnie z takimi nieraz szczegółami, jak gdyby odbywały się tuż, tuż może wczoraj, może dziś... Życie w obozie w Gusen I to taśma filmowa. Każde z wydarzeń utrwaliło mi się jak na kliszy fotograficznej, z drobnymi nieraz szczegółami, z pełną skalą kolorów i doznań zmysłowych, nawet warunków atmosferycznych. Każde ma inną scenerię. Z koszmarnych epizodów wyskakują i radosne, wiosenne, pełne nadziei na wolność, na powrót do kraju, do swoich, do Polski. Mąci je tylko bolesne uczucie potwornego głodu tamtych dni, miesięcy, lat. A był to głód tak bolesny i tak koszmarny, że zmieniał człowieka w hienę. Tylko w obozie można było ocenić, kto potrafił być aż do ostatka człowiekiem. Tam przysły mity o ludziach z wykształceniem, o ludziach kulturalnych. Tam za porcję chleba zabijał Niemiec Polaka, tam umierał z głodu syn, bo ojciec jego porcję chleba zjadł, by przeżyć jeszcze choć jeden dzień. Lipiec 1940 roku. Jest piękny, letni dzień. Lekki powiew wiatru znad Dunaju sprawia ulgę zmęczonym i oblany potem więźniom. Wspinają się z nerwowym pośpiechem po stromym zboczku kamieniołomu. Na pierwszym szczycie wzgórze Kastenholen leży rozległe zwałowisko spiętrzonych granitowych skał. Tu każdy ze skazańców zabiera szeroki głąz i schodzi w kierunku obozu. Idą pospiesznie. Muszą. Głazy pchają ich w dół. Kamienie są ciężkie. Twardy granit gniecie boleśnie ramiona, kaleczy palce, przecina dłonie. Kapowie popędzają z wraskiem. Biją gumowymi wężami. Rozstawieni wzdłuż ścieżki nadludzie z automatami szydzą, śmieją się, wulgarnie urągają. Popisują się niewybrednymi dowcipami o Polsce. Każda wypowiedź upstrzona rynsztokowym słownictwem, zieje nienawiścią do wszystkich i do wszystkiego, co nie jest niemieckie. Ubrani w letnie przewiewne bluzy, z zakasanyimi rękawami, prześcigają się w barbarzyństwie. Biją bykowcami. Biją każdego Polaka, Czecha, Niemca kopią, plują. Biją po głowie, przecinają policzki. Więźniowie jęczą z bólu, krwawią, puchną. Padają pod razami. Wypuszczone z rąk głązy podcinają nogi idącym w przodzie. Sieją zamęt i spustoszenie. Więźniowie przewracają się, krzyczą. Leżących na ziemi kopią kapowie. Kopią w brzuch, w twarz, łamią żebra. Robią to samo co umundurowani twórcy nowego ładu w Europie, twórcy nowej kultury, rasowi budowniczo wie "Wielkiej Trzeciej Rzeszy". Nagle... Suchy trzask przecina powietrze. Pada strzał, pada człowiek więzień. Jeden z esesmanów podszedł do więźnia oznaczonego gwiazdą Dawida. Z obleśnym uśmiechem polecił mu zdjąć z ramion kamień. Nawet udawał, że mu w tym chce pomóc. Potem zdjął mu z głowy bardzo delikatnie czapkę. Czapka była splamiona krwią. Z nieukrywanym obrzydzeniem odrzucił czapkę w bok. Kazał więźniowi iść po nią. Ten poszedł. Schylił się, już miał ją

podnieść... Upadł, skulił się i jak kamień potoczył w dół. Nadczłowiek pociągnął wtedy za cyngiel. Dobrze celował, głodny nie był. Zabił sprytnie, po czym uśmiechnął się. Otrzymał na pewno 3 dni urlopu. Pamiętam dokładnie te dni. Czasem wydaje mi się, że to był tylko koszmarny sen. A jednak to była naga rzeczywistość. Też nosiłem te kamienie. Bił mnie SS-man, bił też kapo. Mimowolnie dotykam brody. Tak to blizna z tamtych dni. A ten dokuczliwy ból nogi, to pamiątka na całe życie. Też z tamtych dni. Więzień zginął i potoczył się w dół. Inni idą ścieżką. Też w dół. Na podmokłym placu zrzucają głązy. Bryzga błoto zmieszane ze łzami, ludzkim potem, ludzką krwią. Inni rozbijają skały potężnymi młotami. Jeszcze inni klęcząc w wodzie, układają je pokaleczonymi rękami. Stoi nad nimi kapo Matucha. Niemiecki więzień, kryminalista, z zielonym trójkątem. Uosobienie wszystkiego, co złe i nieludzkie. Krępy, o twarzy buldoga, z wystającymi policzkami i krwią podbiegłymi oczami. Z bezzębnych ust cieknie brązowa ślina. Żuje tytoń. Spluwa na głowę klęczącego przed nim więźnia Polaka. Opiera się o stylisko łopaty. Ochryplym głosem bluzga. Złorzeczy wszystkim. Nienawidzi życia. Schyla się. Bierze w zabłocone łapy głąz i ciska nim w więźnia.. Nie trafił. Nie ma krwi. Chwyta za stylisko, podskakuje do tego, dla którego przeznaczony był kamienny cios i bije. Więzień pada w kałużę. Woda barwi się krwią. Kopie leżącego. Łańcuch tragarzy sunie obok. Kamienie stukają. Bryzga błoto. Żywy łańcuch pęka. Metaliczny dźwięk szyny zawieszanej na drągu obwieszcza zbiórkę. W stal bije młotkiem starszy obozowy (Lagerälteste) Kammerer. Elegant. Czapka fantazyjnie naciągnięta na kretyńskie czoło. Pasiak skrojony na miarę, ozdobiony emblematem władzy. Na czarnym tle biały napis. Jest rosty, tęgi, muskularny. Na nogach lśniące lakierki. W lewej ręce trzyma bykowiec. Biję z namysłem i rozwagą. Szczyci się swoją siłą. Po każdym uderzeniu wodzi w koło oczami. Szuka aprobaty u podobnych sobie. Bieda, jeżeli po uderzeniu więzień nie zawyje z bólu lub nie upadnie. Wtedy wpada w szał i bije bez szablonu. Zabija z zimną krwią. Ulubioną jego rozrywką jest wrywanie zębów więźniom. Przy takiej zabawie siada sobie na krześle. Ofiara stoi przed nim. Na jego polecenie trzyma w zębach ręcznik. Starszy obozowy rozmawia sobie przyjacielsko ze skazańcem i od niechcienia bawi się zwisającym ręcznikiem. Ofiara milczy. Ręcznika nie śmie wypuścić z ust. Nagle rzeźnik Kammerer szarpie gwałtownie ręcznikiem. Ten wypada. Zęby wypadają też wraz z kawałkami poszarpanych dziąseł. Oprawca śmieje się. Ofiara wyje z bólu i dusi się własną krwią. W taki sposób wyrwał zęby warszawskiemu architektowi, Żydowi Feferowi. Zamiast ręcznika musiał trzymać w zębach gumowy pas. Po czterech dniach chorego Fefera zabił Bawarczyk Hans Kammerer drewnianym kołkiem i kopnięciami w brzuch, koło 16 bloku. Apel trwa krótko. Stan się zgadza. Policzone dokładnie żywych i równie dokładnie zabitych. Chwila uwagi. W tył zwrot i na bloki marsz. Najprzyjemniejsza komenda w życiu obozowym. Przed każdym blokiem stoją rzędem kotły, Ślina cieknie na ich widok. Żołądek sprawia ból. Więźniowie ustawiają się w kolejkę. Każdy z miską, którą zabrał pośpiesznie z półki. Blokowy trzyma w ręku kielnię. Jedną nogę oparł o brzeg kotła i trzyma w napięciu. Widocznie też kiedyś był głodny. Umie się znęcać. Niezły psycholog. Powoli, z grymasem zdejmuje nogę i ceremonialnie oddziela porcję. Robi to z namaszczeniem i wlepia chciwe ślepia w każdą porcję. Podnosi kielnię, lecz nie wlewa zupy do podstawionej miski więźnia. Woła swojego sługę. Podbiega elegancik z miską. W chochli był kawałek mięsa. Na gładkiej buzi chłopaczka pojawia się panieński rumieniec. Pan blokowy przymilnie się uśmiecha. Więzień, czekający przy kotle na tę właśnie porcję, przewraca oczami, jakby chciał wszystkie moce tego świata wezwać na pomoc. Daremnie. Za stary. Od czasu do czasu uderza blokowy w pochyloną głowę. Jeden z więźniów po uderzeniu pada. Już na tej ziemi żadnego obiadu jeść nie będzie. Pękła czaszka. Blokowy Gruber zabił w ten sposób nie znanego mi z nazwiska więźnia. Po wypadku spokojnie nalewał skrwawioną chochlą zupę. Więźniowie bloku 16 chlipią bardzo szybko cuchnący wrzątek. Spieszą się. Myją już miski w czystej zimnej wodzie górskiej. Wiele do mycia to tam znowu nie ma. Prawie każdy wylizał miskę. Głód to okropne uczucie. Zmącona woda wpada w drewniane koryta, a stąd spływa do brudnej sadzawki o głębokości około 2 metrów. Dół opróżnią w późniejszych godzinach więźniowie narodowości żydowskiej, tzw. kompania karna (Strafkompania). Okala go wał z gliny, wysokości około 30 cm. Jeden z więźniów cofając się, potyka się o wał i wpada w brudną wodę. Widzi to blokowy z baraku nr 15. Jak pantera skacze z okna i już stoi nad ofiarą. Wyje z radości. Już nie pozwoli więźniowi wydostać się z wody. Ten jednak robi wszystko, aby się wygrzebać. Próbuje z jednej, próbuje z drugiej strony. Niestety. Nad bajorem szybko zbiera się doborowe towarzystwo. Sami zieloni. Zbiegli się jak sępy na żer. Podnieca ich to widowisko. Jest tu izbowy Handlos, jest kapo czeski Aleks, jest kapo Wochning, jest Weidemann i Franz Beuth. Jeden jedyne blokowy, Austriak Kokesch, chce obronić topielca. Tamci nie pozwolą. Odchodzi bezsilny. Zmartwienia nie zdradza. A więzień zanurzony po szyję w zimnej wodzie, błaga o litość. Nie zna jeszcze stojących nad nim. Wierzy, bo myśli jeszcze jak człowiek. Chwilami krzyczy, woła o pomoc. Uśmiecha się nawet. Potem wodzi błędnym wzrokiem i skamle o życie. Domyśla się, miota nim przerażenie. Chce zaczeplić dłoń o wał. Wystawia rękę. Natychmiast zgniata mu ją ktoś obcasem. Słysząc chrzęst łamanych palców. Osaczony wyje z bólu, jęczy. Zwyródniałcy śmieją się i pokrzykują, by się zanurzył. Ofiara zna język niemiecki. Zanurza się na moment, wynurza, otwiera oczy i patrzy ciekawie wokoło. Łapie powietrze. Łudzi się widocznie. Ktoś uderza go drewnianym drągiem po głowie. Skóra pęka na czaszce, krew spływa po twarzy, kapie z nosa i spływa bokami w kąty ust. Widok makabryczny i wstrząsający zarazem. Z szykiem i podniesioną głową zjawia się na brzegu Franz Beuth (wtedy nie znałem jeszcze

jego nazwiska). W ręce trzyma wiaderko po marmoladzie. Ładne, czyste, blaszane i lśniące w promieniach południowego słońca. I uchwyt z drutu też lśni. Nachyla się nad okrwawionym i wsadza mu z namaszczeniem wiaderko na głowę. Naciska z góry pomaga sobie deską. Kładzie deskę na dno i staje triumfalnie na niej. Deska wygina się, wiadro idzie pod wodę, która bulgocze. Nie widać jednak krwi. Bańki powietrza wyskakują z lustra zmaconej wody i pękają. Podobne do tych, które jako dziecko wydmuchiwałem z mydlanej wody. Wiaderko drga. Przechyla się na boki. Deska nie puszcza. Znika pod wodą. Jeszcze parę baniek... Tak zginął nauczyciel szkoły ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie, Józef Fielek. Anielin Fabera
(Źródło: Kalendarz Górniczy Kopalni "Ziemowit" 1986, red. Alojzy Lysko ;
<http://www.pzsledziny.org/strony/wspomn.htm>)

Józef Żmij

Relacja byłego więźnia z wyjazdu do Gusen w roku 1960, z okazji 15 rocznicy wyzwolenia KL Gusen

Ilustrowany Kurier Polski nr 74, 29.03.1961 Nad szarym Dunajem

W obecnie toczącym się w Ansbach (NRF) procesie b. komendanta obozu koncentracyjnego Gusen & Chmielewskiego, jednym z głównych świadków oskarżenia był JÓZEF ŻMIJ z Katowic, o którego zeznaniach "Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisała, że były złożone "z naukową precyzją i ścisłością historyka".

Poniżej drukujemy interesujące relacje Józefa Żmija z jego pobytu w Gusen.

REDAKCJA

Koszmarne lata minionej okupacji, a przede wszystkim bestialstwa popełnione w niewoli hitlerowskiej wgrzyły się w pamięć jak rdza i codziennie przesuwają się przed oczami niczym najbardziej makabryczny film. Do miejsc kaźni otaczanych normalnie wciąż całą ludzkością zdążają pielgrzymki młodych i starych, a szczególnie bezpośredni uczestnicy tych przeżyć, by złożyć hołd współtowarzyszom, którzy zginęli i przypomnieć ludzkości w jak najbardziej zrozumiałej formie, że dramat 1939-1945 roku powtórzyć się nie może. W takim to celu wyjechała delegacja b. więźniów politycznych ‐ pod auspicjami Zarządu Głównego ZBOWiD ‐ do Mauthausen-Gusen. Pogoda wspaniała. Dobre drogi. Autokar "ORBISU" pokonuje przestrzeń bez widocznego zmęczenia. Przed przekroczeniem granicy polsko-czechosłowackiej nocujemy w Bielsku-Białej, by nazajutrz wyruszyć wprost do Wiednia. Odprawa celna w Cieszynie poszła sprawnie. Rejestrujemy posiadaną gotówkę, stosunkowo sporo aparatów fotograficznych oraz "Szarotkę", która towarzyszy nam z Warszawy i łapie radiostacje, które zbliżają się do jej zasięgu. Ruszamy i zatrzymujemy się dopiero w Brnie na krótki postój. Następny skok to już granica austriacka. Powtarza się ta sama procedura jak w Cieszynie, lecz w bardziej uproszczonej formie, bo w ogóle nie wysiadamy i po odfajkowaniu uczestników w spisie, ruszamy do Wiednia. Hotel "BAWARIA" przygotowany. W sobotę zwiedzamy miasto. • …I oto ‐ po 15 latach ‐ znów jesteśmy w Gusen. Nie ma tu już baraków więźniarskich ani koszar esesmańskich, natomiast bujnie rosną chwasty, przypominające dżunglę. Część terenu obozowego zabudowana jest domkami jednorodzinnymi. Są tylko resztki pieca krematoryjnego, nakryte prowizorycznie blachą. Blok stoi niby symboliczny pomnik, niewiele większy od kamienia kilometrowego przy pierwszej lepszej drodze. Leżą na podmurówce szczątki stołu kamiennego, który został tu przewieziony z nieistniejącego już prosektorium ‐ stołu obtłuczonego ręką wandalą i niewiele przypominającego, jakie było jego przeznaczenie wzgl. do czego służył. Dla mniej wtajemniczonych przedstawia płytę i trudno byłoby o skojarzenie tej ruiny z osobą nieżyjącego już rektora Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu ‐ dr Feliksa Kamińskiego, któremu stół ten służył do przeprowadzania wielu tysięcy nakazanych sekcji zwłok, bynajmniej nie w celach rozpoznawania istotnych przyczyn zgonów, bo to było najzupełniej obojętne, lecz po to, by szukać zmian patologicznych w kościotrupach, wykroić odnośne części oraz zakonserwować dla celów naukowych Akademii Lekarskiej w Grazu, dokąd odpowiednio dobrane eksponaty były regularnie odwożone. Przyjeżdżała sanitarka i zabierała je w słojach lub stanie wysuszonym wzgl. odpowiednio spreparowanym. Z tym stołem kojarzą się wspomnienia o skórkach ludzkich, tatuowanych, które poszły na abażury do lamp esesmańskich, torebki damskie ‐ a jeżeli już bez tatuażu, to pod napisy np. tej treści: "My… (tzn. członkowie SS) nikogo się nie boimy, Nam wystarczy, że NAS się wszyscy boją!

Von EICKE".

Taka dekoracja ścian gabinetów wodzów plebienia SS stanowiła szczyt elegancji.

Ileż jeszcze innych wspomnień makabrycznych gromadzi się, gdy stoimy obok szczątków krematorium. Na tych kilku metrach kwadratowych nie ma już śladu szubienicy ani strzelnicy, gdzie wieszano i rozstrzeliwano więźniów, a następnie zacierano piaskiem strugi krwi. Stąd zabierano popioły ludzkie do podsypywania esesmańskich placów sportowych. Tu chorzy niepracujący więźniowie tzw. mużulmani grzebali w żarzących kościach ludzkich i podpiekali zorganizowane kartofle, by zaspokoić głód itd. itd. Ból ściska serce, że ten skrawek ziemi, stanowiący jak gdyby kulminacyjny punkt kaźni, okrążyło licząc 38 tysięcy męczenników, bliski jest kompletnej zagłady, bo jeszcze rok lub dwa i wszelki ślad będzie zatarty. Do tego miejsca zbliża się zabudowa domków jednorodzinnych. Tu delegacja nasza składa wieniec, oddajemy hołd pomordowanym, a myśli nasze pracują na coraz szybszych obrotach. Wreszcie żegnamy to miejsce i oddalamy się rozgoryczeni. Zwiedzamy resztę terenu poobozowego, dziś zespolonego z kombinatem kamieniołomów Gusen, Kastenhofen, Pirchbauer i jak tam się jeszcze nazywały. Przechodzimy obok Schottersila (łamacz brył kamiennych) – wyszabrowanego i nieczynnego. Jest wśród nas autor projektu, b. więzień inż. Wiesław Drozd. Robi zdjęcia. Wszyscy wspominają o morderczej pracy i licznych ofiarach, jakie pochłonęło kopanie fundamentów 9-metrowej głębokości. Do wykopanego dołu wpędzano więźniów „inwalidów”, by wydobywali ciężkie bryły kamieni, z którymi zmagali się pod górę po to, by za jednym kopnięciem znaleźć się wraz z kamieniem z powrotem na dnie dołu. Po niewielu tego rodzaju zmaganiach już nie żyli. Po niechybna śmierć ganiał tych nieszczęśliwych b. esesman i starszy obozowy Helmut Becker z Hamburga, straszliwie ich katując i – jak gdyby w nagrodę za to – sam zginął w obozie śmiercią haniebną, na jaką zasłużył. Odświeżając te wspomnienia idziemy dalej. Kamieniołomy są czynne. Przysłużyła im się odkrywka wzgl. zdjęcie ziemi grubości około 8 m wykopana praca niewolników. Sposób eksploatacji skał zmienił się. Nie ma eksploatacji ścianowej, bo eksploatuje się kompleksowo. Od 15 lat zamilkły wołania: „bacność, spadochroniarz leci!”, co oznaczało tyle, iż któryś z niewolników rzucił się w celach samobójczych w dół – rzecz jasna – zginął. Znikły zapasy kamienia ciosanego, wartości wielu milionów marek. Zapasy te gromadzono już od 1940 r. na zbudowanie „pomników zwycięstwa” Trzeciej Rzeszy, która miała zapanować nad światem. Wśród naszej delegacji powstały wątpliwości, co i gdzie stało oraz gdzie kto wykonywał pracę niewolniczą. Baraków steinmetzerskich nie ma. Barak kombinatu zmienił się dość radykalnie. Józef Żmij Ilustrowany Kurier Polski nr 75, 30.03.1961 Nad szarym Dunajem

(Dokończenie)

Natomiast nie zmieniła się firma „DEST” (Deutsche Erd- und Steinwerke Gusen), z siedzibą w Berlinie. Nie zmienił się kierownik firmy Wolfram, który jako ultra-esesman w randze Hauptsturmfuehrera SS po odsiedzeniu 10 lat więzienia powrócił na swoje stanowisko i działa, dojeżdżając tu aż z Berlina. I jak działa? Parceluje teren obozowy i sprzedaje każdą parcelę pod budowę domków jednorodzinnych, co w praktyce oznacza to samo, co zacieranie śladów kaźni, w której zginęło dziesiątki tysięcy więźniów-niewolników różnych narodowości, w tej liczbie ponad 22 tysiące Polaków. O zacieraniu wszelkich śladów owych koszmarnych czasów świadczy dobitnie fakt, że teren obozu Gusen II stanowi już bez reszty osiedle domków jednorodzinnych, natomiast Gusen I częściowo stanowi jeszcze dżunglę, wśród której wyrosły już domki i zabudowa postępuje naprzód. Tempo zabudowy nie jest jednak takie, aby zadowoliło Wolframa, bo na parkanie przydrożnym czytamy takie ogłoszenie wydane drukiem.

„Bauparzellen zu verkaufen. Auskunft erteilen
Deutsche Erd- und Steinwerke Gusen”,

a więc Wolfram, czyli ta sama kanalia hitlerowska, która 15 lat temu gnębiła więźniów-niewolników, podszczywała kierownictwo obozu, robiła donosy „wegen notorischer Faulheit” (za notoryczne lenistwo), za co sypały się kary cielesne.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że teren obozowy Gusen w 1939–1940 r. został wydarty obywatelom austriackim, którzy bronili się, ale byli bezsilni, bo DEST była firmą esesowska z Himmlerem na czele i, jak się okazuje, taka pozostała. Dziś ta sama firma parceluje i sprzedaje to, co 20 lat temu zagrabiła przemocą. Można bez cienia przesady stwierdzić, że Wolfram zabija dwie muchy za jednym zamachem, bo zgarnia pieniądze z parcelacji oraz zaciera ślady kaźni hitlerowskiej. Trudno byłoby posądzić DEST o brak premedytacji. Z naszymi spostrzeżeniami dzielimy się z ministrem Rusinkiem i wskazujemy na brak poszanowania skrawka ziemi obficie zroszonej krwią i przypieczętowanej życiem wielu tysięcy istnień ludzkich. Na to otrzymujemy odpowiedź, że rząd austriacki zgodził się utrzymać pod ochroną konserwatorską teren obozu macierzystego Mauthausen, natomiast odmówił podobnej zgody dla terenów wszelkich podobozów, czyli przesądzony jest los Gusen I, nie mówiąc o Gusen II, który

praktycznie przestał istnieć.

W pobliskim St. Georgen, gdzie niewolnikami wybudowano i wyposażono okazałe osiedla mieszkaniowe dla esesmanów, czeka nas inna niespodzianka. Nie ma już esesmana Kluge, którego przypominamy sobie, jako Arbeitsdienstfuhrera i wszędobylskiego kata, który wzenił się do rodziny dostawcy mięsiwa (raczej gnatów) dla obozu. Papa dostarczał, a zięć Kluge odbierał dostawy i płacił za nie. Okazało się, że rodzinka nie lubiła podobnych odwiedzin jak nasze i wyemigrowała do NRF, a jej posiadłość przeszła w obce ręce.

Jeden z naszych kolegów, dr Władysław Gębik z Olsztyna korzystając z okazji wpadł na krótką chwilę na teren zamczyska „Ruine Luftenberg”, gdzie w czasie niewoli pracował w komendzie wykopaliskowej, zwanej pogardliwie „Knochen – sammler” (zbieracze kości).

W drodze powrotnej w Grazu nad „pięknym modrym Dunajem” obiad. Po drodze zwiedzamy jeszcze potężne zabudowania klasztorne, do których przylega winiarnia. Zbliżamy się do Wiednia, lecz na 18 kilometrów przed wjazdem do miasta blokują nas samochody osobowe czterema rzędami. Stoją. My też stoimy już pełną godzinę i ani rusz. Zaczynamy już stawiać na spryt naszego „wodza” Janusza Tarasiewicza, który decyduje się na interwencje w policji drogowej. Argumenty chwyciły. Zmotoryzowany policjant z wszelką uprzejmością wyprowadza nasz autobus z gęszczy pojazdów i przy pomocy sygnałów toruje nam drogę, wskazując ręką, że mamy za nim jechać. Podprowadził nas co najmniej 8 km i znikł, bo mogliśmy teraz jechać bez przeszkód. W duchu jesteśmy wdzięczni policjantowi, a koledze Januszowi bijemy brawa. Ten przypadek uświadomił nas, jak ciężki jest problem komunikacyjny w Wiedniu, który liczy 200 tysięcy pojazdów osobowych, koczujących stale na zatłoczonych bocznych ulicach, nie wyłączając Sobieski-gasse. Problem garaży nierozwiązany.

W Wiedniu oczekiwała nas trójka znanych b. więźniów austriackich Karl Rohrbacher, Franz Cihal i Franz Leonhardt. Rohrbacher jak zawsze w dobrym humorze. To spotkanie uczczone zostało lampką wina.

Reszta czasu w Wiedniu poświęcona była zwiedzaniu miasta, a więc dzielnicy reprezentacyjnej, znanej z komfortu, a jeszcze lepiej od strony słynnych cen. Zwiedzamy pałac cesarski i wspaniały park, Belweder, sporo zabytków i pomników, słynny Prater, Kahlenberg i nie omijamy także Grinzigu. Po zakup udaliśmy się do dzielnicy tańszej tzw. Słowiańskiej. W drodze powrotnej do kraju pilotuje nas na przestrzeni około 60 km wóz Leonhardta z Rohrbachem i Cihalem. Za szybą mają napis: „Niech żyje Polska – Auf Wiedersehen!”. Jeszcze jedno pożegnanie i jesteśmy na ziemi czechosłowackiej. Nocujemy w Brnie. Tu zwiedzamy miasto i okolicę oraz słynna twierdzę zwaną Spielberg. Wieczorem mamy spotkanie z kolegami obozowymi prof. dr Podlaha, jego małżonką (też więźniarką) i synem, dr Hawlikiem i innymi kolegami. Nazajutrz wyruszamy z Brna do Warszawy z małą przerwą obiadową w Katowicach.

Trzeba przyznać, że wycieczka była przygotowana starannie i przebiegała według programu. Wszyscy uczestnicy byli zadowoleni. Jeżeli u uczestników b. gusenowców pozostał osad gorczy spowodowany warunkami zagłady obozu Gusen, to zupełnie niezależnie od programu oraz naszych władz krajowych. Myślą przewodnią i słuszną była, iż to miejsce katongi zostanie odpowiednio zabezpieczone i poddane opiece konserwatora dla uczczenia pomordowanych i przestrogi żyjących. Tą koncepcyjną myśl, której autorem w rozmowie z niżej podpisanym był zamordowany przez Fritza Seidlera więzień austriacki dr Jan Gruber z Linzu, wobec stworzonych, wyżej opisanych faktów należy uważać za ostatecznie pogrzebaną. Na prochach męczenników mieszkać będą domkowicze, w ich ogródkach rosnąć będzie marchewka, sałata i pomidory, a hitlerowiec Wolfram już teraz ma powód do szyderczego uśmiechu i zacierania rąk.

Józef Żmij